

## Pierwszy wywiad kobiety

## U cesarza Mandżuko

Candide ogłosił świetny wywiad literatki rosyjskiej osiadłej we Francji, pani Roubé Janskiej, z cesarzem Mandżuko. Amatorka egzotycznych wrzusek nie miała kłopotu z uzyskaniem wywiadu u ostatniego monarchy dynastji Mandżu, a pierwszego cesarza nowo kreowanego państwa Mandżuko.

## Kobieta — puch marny

Cesarz Pu Yi z zasady nie udziela audyencji kobietom. Kobieta, puch marny i wietrzna istota, musiała tedy apelować do wszystkich kolejno ambasadorów i szefów departamentu em-es-zetu, aż wreszcie po kilku dniach otrzymała zaproszenie na dwór. Tegoż dnia zjawilo się u niej dwóch dygnitarzy dworskich, odzianych w jedwabne długie szaty, którzy przyszli z zamiarem „przygotowania” jej do owej audyencji. Chodziło o ustalenie toalety w jakiej miała się pokazać jego cesarskiej mości. Europejka twierdziła, że wystarczy na rano ciemny kostium, ale skośnooki mistrz ceremonji wymusił w jej kufrze kwieciastą, sztyfowaną suknię balową i dobór do niej sportowy, zniszczony kapelus.

— Albowiem należy przystojnie i godnie wyglądać, gdy się idzie z wizytą do cesarza. Będzie pani mówić z ostatnim potomkiem dynastji Mandżu, która wladala Chinami od roku 1644.

— I wciska mi gwałtem granatowy, wymięty kapelusz — opowiada pani Janska — mam lzy w oczach. Wyglądam w tem jak czupiradło. — A może mam wziąć pałasz — dodaje z ironją.

— To zbyt ciężkie — odpowiada — przyjdziemy po panią samochodem. A jakie pani zamierza stawiać pytania?

— Nie wiem jeszcze. W każdym razie nie na temat polityki. Nato dygnitarze dworscy oświadczyli literatce, że podczas rozmowy z cesarzem należy każde słowo zanurzyć w dziesięć razy w wodę, zanim się je wypowie.

Wjazd do pałacu odbywa się szpalerem żołnierzy w białych mundurach i białych hełmach.

## Organizujemy

— Kto to taki? — zapytuje pani

Janska. — To muzykanci. — Ależ oni nie mają instrumentów. — A tak — jeszcze nie mają instrumentów. Ale czasami będą naprawde grać. My się przecież dopiero organizujemy — brzmi odpowiedź.

W wielkim podwórzu siedzi w trzcinowym fotelu Chińczyk. Wokoło niego stoją kubły z brudną wodą i suszą się na sznurach ściereczki i miotły. W salonie, służącym za poczekalnię stoi mnóstwo wyściełanych aksamitem foteli, zniszczonych otoman i pótek. Ze dwudziestu Chińczyków w mundurach khaki, w jedwabnych szatach, w pierzastych hełmach, lub w czapkach; rozprawiają namiętnie. Mały boy przynosi nam filiżanki z gorącą herbatą i serwetki zmoczone w ukropie.

— Pani taka wzruszona — powiada tłumacz — niech sobie pani wytrze twarz mokrą serwetką, to tak dobrze robi na nerwy.

Nie zauważył, że dama wypiekła się, że przez piętnaście minut przyciemniała oczy a przez dziesięć minut barwiła policzki.

Na stole leżą pisma ilustrowane i specjalny numer „Manchuria Daily News”, wydany z okazji in-tronizacji cesarza.

Idziemy do prywatnych apartamentów cesarza — pisze dalej pani Janska. Pałac przypomina szkółkę wiejską. Jego cesarska Mość mieszka w dawnym budynku komory celnej. Pałac nie jest jeszcze skończony. Buduje się na gwałt gmachy ministerstw, później przyjdzie kolej na pałace rządowe i ambasad.

W prywatnym salonie cesarza zaciemnionym firankami stoją zniszczone sprzęty, rozmaitych stylów, a na podłodze leży wytarty dywan. Mam wrażenie że weszłam do mieszkanka wdowy po kapitanie armji kolanjalnej, która zajmuje się odnajmowaniem pokoi. Gdzieś się podział luksusowy salon z pięknymi meblami z laki i porcelanami, uwieczniony na na fotosach prasowych agencji?

## Cesarz...

Po środku pokoju stoi chudy, blade młodzieniec w dolmanie

khaki. Jest sztywny i milezący — przygląda mi się bacznie.

— Cesarz — szepnął tłumacz, gnąc się w pokłonie.

Zza okragłych okularów patrzył czarne wielkie oczy. Zbliżyłam się uśmiechając się — cesarz podaje mi rękę i wskazuje mi fotel. Wybieram ten, który stoi najbliżej cesarza, chciałabym bowiem obejść się bez tłumacza.

Stawiam przygotowane pytania. Tłumacz je powtarza po chińsku.

Jego cesarska Mość porusza nozdrzami — wdycha z lubością zapach paryskich perfum. Ja zaś czuję uporczywy zapach jodoformu, którym skropione są poczekalnie.

— Kiedy jego cesarska Mość ma zamiar odwiedzić Francję?

— Nie wiem — może za rok. Mam wielką ochotę poznać Paryż.

Zapewniłam go, że Paryżanki marzą o nim. Uśmiecha się lekko, a kolano jego drży leciutko.

## Jak spędza dzień

Korzystam z tego, by go zaskoczyć nowym pytaniem. Jak spędza dzień. Odpowiada na to:

— Wstaję o siódmej rano, wypijam filiżankę czarnej kawy czytuję wszystkie pisma. To trwa do dziesiątej. Następnie udzielam audyencji, przyjmuję ministrów i generałów. Śniadanie w południe. Od pierwszej do trzeciej siedzę z zamkniętymi oczami i myślę. Myślę o najrozmaitszych sprawach. Niezbędna jest taka sjeśća dwu godzin, podczas której nie otwierając oczów rozmyśla się nad ważnymi problemami. Od trzeciej do piątej gram w tenisa, w biliar, w golfa, albo odbywam konną przejażdżkę. Od piątej do siódmej znowu posiedzenia z ministrami, a jeżeli nie ma nic do roboty — rozmowa z cesarową. O siódmej obiad, potem trochę muzyki, czytanie głośnie i o dziesiątej koniec dnia.

— Jaka muzyka najbardziej odpowiada Jego cesarskiej Mości?

— Radjo.

— Miałam na myśli kompozytorów. Czy lubi jego cesarska Mość Bacha, czy też Beethovena, a z muzyki lekkiej Straussa czy

Yvain, czy też muzykę chińską?

Zastanawia się przez chwilę, poczem odpowiada:

— Lubię radjo.

— A jakie książki...

— Gazety. Czytam tylko gazety. Nie mam czasu na książki. Czy lubię tańczyć? O — doprawdy nie wiem. Nigdy nie próbowałem tańczyć.

Zapytuję go jeszcze, czy się nie nudzi w tem niewykończonym mieście, gdzie się człowiek co chwila ociera o świeżo malowane mury.

Tłumacz tym razem zachowuje dyskretne milczenie, a po chwili odpowiada mi.

— Cesarz o nic się nie ociera.

Teraz cesarz zaczyna zadawać pytania.

— Dlaczego narody tak się kłócą? Dlaczego wszystkie narody są tak samolubne. Chciałbym, żeby wszyscy żyli w zgodzie i pokoju, żeby ludzie byli braćmi i żeby nie było nigdy wojen.

## Brak fotosów

Proszę go o fotografię. Naciska dzwonek elektryczny. Wchodzi boy, wysłuchuje rozkazu, wychodzi, poczem wraca z dużym portretem cesarowej.

Pu Yi dziwi się czemu nie przy niesie także jego podobizny.

— Niema już — odpowiada krótko służący.

Cesarz gniewa się, nalega. Boy odpowiada poufale a opryskliwie, znowu wychodzi i wraca z pustymi rękami. Cesarz jest niezadowolony, tłumaczy się, że mu zabrakło fotosów, że mi je przyszło za trzy dni.

Ochodzę przyciskając do pierśi portret cesarowej. Żegnając cesarza ceremonjalnym uściskiem dłoni i wracam do poczekalni, gdzie czeka na mnie mistrz ceremonji Maa.

A nazajutrz zmiana nastrojów. Od rana dzwięczy telefon w moim hotelu. Spią się zaproszenia. Znoszą mi kwiaty i bilety wizytowe. Stał się cud. Mała Japonczka w hotelu przemawia czystą francuszczyzną.

— Co oni sobie wyobrażają?...

Nie będę wykorzystywać cesarskiej łaski. Gdzie moje bagaże. Wzięmy stąd. Żegnaj Hsin-kingu.

## Klasztor benedyktyński w stylu chińskim

Postępy katolicyzmu w Chinach w latach ostatnich są bardzo znaczne. Stwierdzić je można na podstawie oficjalnych danych statystycznych.

Pomyślne rezultaty pracy misyjnej w dużym stopniu uzależnione są, jak to już niejednokrotnie zostało stwierdzone, od tego, w jaki sposób misjonarze ustosunkowują się do ludności tubylczej. Chińczycy ogromnie są przywiązani do najrozmaitszych wielowiekowych tradycji, zwyczajów i t. d. nie posiadających właściwie w wielu wypadkach żadnego głębszego znaczenia. Są konserwatystami nie znoszącymi innowacji, czy to będzie chodziło o obrzędy, czy o styl. Totcz misjonarze katolice, od wielu lat pracujący na terenie Chin, znając tę charakterystyczną cechę duszy chińskiej postępują bardzo rozumnie, nie narzucając tubylcom stylu europejskiego, w miarę możliwości na każdym kroku dostosowując się do upodobań Chińczyków.

Do terenów, na których dzieło misyjne daje najbardziej pomyślne rezultaty, należy zaliczyć w pierwszym rzędzie kraj Se-Tchuen. Mieszkańcy tych okolic to przedewszystkiem rolnicy. Poziom kulturalny jest tutaj w porównaniu z innymi częściami Chin nader wysoki. Se-Tchuen już w roku 1696 miało swego wikariusza apostolskiego w osobie Artusa de Lionne, kapłana Misyj Zagranicznych i stryjcznego brata jednego z ministrów króla Francji, Ludwika XIV-go. Pierwszym seminarjum w Se-Tchuen zostało założone jeszcze w r. 1702. W latach następnych przesładowania doprowadziły do bardzo znacznej przeredziły szeregi przybyłych w te strony misjonarzy europejskich, lecz zło chrześcijaństwo, rekrutując się spośród ludności tubylczej, netylko potrafiło wytrwać, ale w dodatku jeszcze bardziej rozszerzyć dzieło misyjne.

Są do odstąpienia patenty, względnie licencja z następujących patentów polskiej firmy Schering — Kahlbaum Aktiengesellschaft:

Nr. 9649 na: „Sposób otrzymywania niebezbarnego stopu kwasów dwu-alkylobarbiturowych z dwumetylo-aminom-fenylu-dwumetylo-pyrazolu”.

Nr. 9651 na: „Sposób otrzymywania mieszaniny soli alkalicznych”.

Wiadomości: Biuro „Par”, Warszawa, ul. Bracka 17, dla „Prawo”.

W ciągu ostatnich stu lat katolicyzm w Se-Tchuen rozwijał się bardzo znacznie. Kościół posiada dziś w tym kraju przeszło 170 tysięcy wiernych. Samych kapłanów pochodzenia tubylczego jest dwustu. Sióstr zakonnych Chinek poświęcających się dla sprawy Kościoła jest ponad 600.

Były Delegat Apostolski na Chin, Mgr. Costantini, uznając poziom kulturalny Se-Tchuen, oraz postępy katolicyzmu za dostateczne, w porozumieniu ze Stolicą Świętą konsekrował pierwszego wikariusza apostolskiego w Choen-King — Mgr. Pawła Ouanga. W Wan-Hien wikariuszem apostolskim został wyznaczony Mgr. Franciszek Ouang. Gdy w roku ubiegłym na miejsce Prefektury Apostolskiej w Ya-Tcheou został erygowany wikariat apostolski, tytuł biskupa otrzymał również Chińczyk — Mgr. Ly. — konsekrowany przez samego Papieża w bazylice św. Piotra w Rzymie.

Doniosłą rolę w dziełach nawracania tych okolic Chin odgrywa bezwzględnie opactwo zakonu OO. Benedyktów, założone przed 7 laty w miejscowości Si-Shan. Klasztor ten różni się od innych klasztorów w Chinach przedewszystkiem tem, że niemal całkowicie utrzymany jest, jeśli chodzi o stronę zewnętrzną (t. j. gmach, ozdoby, anawet sprzęt liturgiczny), w stylu chińskim, tak drogiem sercu każdego Chińczyka. Ojcowie benedyktyni, tworząc tę placówkę misyjną, świadomie unikali wszystkiego, co mogło ludności tubylczej przypominać Europę. Budynki klasztorne niezem różnią się od innych budynków w sąsiedztwie; charakteryzują je te same linie proste, te same kolumny, te same ozdoby w stylu miejscowym. Co się tyczy wewnętrznej organizacji klasztoru i kościoła, to wszystko, każdy sprzęt, ictarz, lichtarze, chorągwie, nawet mury obiegnięte bogatymi haftowanymi materjami, utrzymane są w stylu chińskim.

Ojcowie benedyktyni w Si-Shan potrafili dokonać wielkiego dzieła, które niewątpliwie przyniesie w najbliższym czasie poważne korzyści dla Kościoła: potrafili wnieść w duszę chińską i sztukę tubylczą zastosować w Kościele, tem samem jednając dla wiary Chrystusowej wiele serc, odpornych na wszelkie próby europeizacji.

Józef Gwizdalewicz

## Z pamiętników szofera Bulldog

„Żyd wieczny tułacz, co się całe życie tułał”.

Pozatem: „Hrabina Zebaczka”, „Barbara Ulbrych” i wiele innych strasznych dramatów i tragedji.

Później czytaliśmy w zeszytach przygody Sierłoka Holmesa, najślynniejszego detektywa w świecie, który setki razy już-już miał zginąć, lecz nie zginął, bo zawsze w ostatniej chwili się ratował swoim niebawym sprytem. Po nim następowały inni, równie słynni detektywi, jak Neck Karter i Nat Pinkerton, ludzie ze stali i o żelaznych nerwach, ludzie, którzy strzelając, nigdy nie chybiałi i każdą zbrodnię wykrywali.

Następnie czytaliśmy ciekawe przygody Buffalo Billa i Jacka Teksasa, którzy gromili w stepach i prerjach setki bandytów i Indian, sami nie będąc nigdy nawet draśnięci.

Po przeczytaniu tylu ciekawych książek, już nikogo się nie obawialiśmy, oprócz grubego pasa naszych ojców.

Letnia pora popołudniu, ja, Janek i Bulldog, mając kilka złotych, poszliśmy raz nad Wisłę, gdzie Janek, który świetnie pływał i nurkował, poszedł się kąpać, a ja z Bulldogiem postanowi-

liśmy wynająć łódkę i pojeździć po Wiśle. Po wynajęciu łódki pojechaliśmy kawałek, ładując spowrotem na brzegu. W tym trakcie zjawili się przed nami chłopaki z nad Wisły, dużo starsi od nas, którzy dali nam po pysku, zabrali łódkę i puscili się w niej na wodę. Przykro nam było, że za nasze pieniądze, wynajętą łódkę inni jeżdżą, a my stoimy na brzegu zapłakani i pobici. Nadchodzi jakiś już dorosły piaskarz. Widać nas zapłakanych, pyta się:

— Czego wy, chłopaki, płaczecie?

— Proszę pana myśmy wynajęli na godzinę łódkę, płacąc czterdzieści kopiejek, a łobuzy ci, co tam jadą, niedosyć, że nam zabrali łódkę, to jeszcze dali nam po mordzie.

— A cóż to, wy jesteście frajery? Czy nie macie na nich kamieni? Walcie w nich, ile wlicie!

Dał nam dobrą radę, a sam udał się w dalszą drogę. Myśmy momentalnie przestali płakać, ja złapałem kilka kamieni, które cisnęliśmy w stronę pływającej łódki. Widocznie jeszcze byłem zbyt słabym chłopakiem, ponieważ żaden mój kamień do łódki nie doleciał. Tymczasem Bulldog wziął w szmągę porządną kawał cegły,

zamachnął się z całej siły i rzucił w stronę łódki. Usłyszeliśmy okropny krzyk od strony pływających łódek. Bulldog za pierwszym razem tak dobrze wycelował, że trafił chłopaka, który zabrał nam łódkę prosto w czubek głowy. Słyszac krzyki i jęki, ja z Bulldogiem przedko uciekliśmy na naszą ulicę. Ogromnie wystraszeni, ulokowaliśmy się na pewne frontowe schody, skąd widać było całą ulicę.

Upłynęło może pół godziny. Patrzyliśmy, a z ulicy, od strony Wisły, idzie cała hmara chłopaków, a na czele chłopak z owianą głową, trzymający za rękę przez wy soką, chudą kobietę, ubraną biednie, w długą obszarpaną suknię. Była to matka chłopaka z rozbitą głową. Prędko zbiegliśmy ze schodów do bramy, skąd niewidzialni, obserwowaliśmy cały orszak. Za chwilę widzę, że wszyscy weszli do Instytutu, udając się widocznie prosto na skargę do mojego ojca. Ze strachu wybuchłem płaczem, mówiąc:

— Och, ty, Bulldogu! Coś ty narobił najlepszego. Ojciec mnie teraz już chyba zabije!

— Co ty na mnie nalatujesz? Przecież tyś więcej razy cisnął ode mnie!

— Tak, ale moje kamienie nie dolatywały, a ty swoją szmągą raz rzuciłeś i trafiłeś od razu chłopaka w goły łeb.

— To niema nic do tego. Cisnęliśmy obydwa, przez co obydwa jesteśmy winni.

Niedługo pocieszyłem się, wi-

dząc, że cała kupa chłopaków, z matką rannego, udała się z Instytutu prosto do rodziców Bulldoga. Pomyślałem sobie: — No, jeśli ja dostanę łajzę, to również i Bulldog dostanie.

Po kilku godzinach spotkaliśmy Janka. Udał się z nim w bezpieczne miejsce i zaczęliśmy się wypytywać o całą zajście. Powiedział nam, że ów chłopak nazywał się Broniek. Głowę opatrzył mu felczer, który miał powiedzieć, że jeszcze troszkę, a kamień sięgnąłby do mózgu.

— Byłem — powiada Janek — w Instytucie razem z nimi. Widziałem ojca Józka, który przysięgał, że da tobie straszne baty, ale to takie baty, jakich ty jeszcze nie dostałeś.

Zaczęłem rzewnie płakać, mówiąc do Janka, że rozbił głowę chłopakowi Bulldog, a nie ja. Janek mówi na to:

— Oni widzieli, że wyszycie obydwa ciskali, więc jego matka, poszła do waszych rodziców, którzy na przeproszenie i na opatrunki dali jej po kilka rubli. Wiesz, Bulldog, widziałem, jak twój ojciec zdjął ze ściany pleciony kozacki bat i powiedział, że tego drania, to jest ciebie, to napewno zasieka.

Buldog ryknął płaczem, a ja z nim. Płakaliśmy rzewnie biedne chłopaki, bojąc się ogromnie obiecanych batów. Janek, jako dobry kolega, pocieszał nas z całej siły. Wreszcie Bldog mówi, popłakując:

— Słuchaj, Józku! Jeśli nasi

ojcowie mają nas zakatować na śmierć, to lepiej my im pokażemy, że sami sobie życie potrafimy odebrać, a przedtem napiszemy do nich pożegnalny list.

Na te słowa głośnieji zapłakałem i odpowiedziałem:

— Dobrze, Józku, odbierzemy sobie życie, tylko musimy wybrać taką śmierć, żeby była lekka i przedka.

A Janek na to:

— To ja wam, chłopaki, poradzę, jako dobry wasz kolega. Pójdźcie za Belweder wieczorem. Jak będzie szła kolejka, połoście się na szynę, tak żeby szyja leżała na szynie. Jak parowóz nadleci, to od razu wasze głowy odskoczą i weale się męczycie nie będziecie. A listy, napisane przez was, posłę przez swoją małą siostrę, bo jak bym sam zaniósł, to jeszcze mnie wasi ojcowie w złości dadzą doliwkę.

Podziękowaliśmy za dobrą radę i za obietnicę doręczenia listów. Janek przyniósł z domu papieru i ołówek. Zaczęliśmy pisać:

„Kochani Rodzice! Ponieważ mamy dostać śmiertelne baty, więc, bojąc się przyjść do domu, postanowiliśmy odebrać sobie życie. Przepraszamy was za wszystkie przykrości i zmartwienia, żegnamy was na zawsze, ściskamy i całujemy miliony razy, pa, pa” — tu następował podpis.

Pożegnaliśmy Janka i uściskaliśmy go, jako bardzo dobrego kolegę, który nam wybrał tak lekką śmierć. Udał się za Bel-

weder, gdzie usiedliśmy na trawie niedaleko szyn i czekaliśmy na pociąg. Smutno nam było okropnie, bo przecież już mało nam pozostało do życia na tym cudnym świecie. Bulldog zaczął popłakiwać i mówi do mnie:

— Słuchaj, Józku, może my się troszkę pomodlimy do Pana Boga, to on nas prędzej wpuści do nieba.

— To ty, Bulldogu, możesz się modlić — odpowiedziałem — ponieważ ty chłopakowi leś rozbił, a ja jestem niewinny, więc Pan Bóg i tak mnie niewinnego wpuści do nieba.

Wtem z daleka usłyszeliśmy przeraźliwy gwizdek parowozowy, który stał na stacji pod Pro-menadą i miał za chwilę ruszyć w stronę Warszawy.

Popłakując mówię:

— No, Bulldog, tyś chłopakowi leś rozbił, więc jako główny sprawca, kładź się pierwszy na szynę, a ja położę się troszkę dalej.

— Słuchaj, Józku — on mi na to — ja mam ciebie za chłopaka odwaznego, dlatego spodziewam się, że ty pierwszy położysz się na szynę.

Słysząc te słowa, rozżłościłem się ogromnie na jego czelność, więc już w złości mówię:

— To ty, Bulldogu, mopsie, cwajnosie, synu ciecia, struplu, rozbiłeś chłopakowi głowę, a ja za ciebie strasznie cierpię i jeszcze chceś, żebym ja pierwszy skakał pod pociąg? Niedoczekanie twoje!

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.69 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.59 (miejdzynastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11-12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

## Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpal): na 1-iej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr. na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy. a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński